

To miał być zwykły wyjazd wakacyjny do Chorwacji, ale przez 10 dni udało nam się zobaczyć tak wiele i przeżyć tak dużo, że spokojnie można go nazwać małą wyprawą na Bałkany.

Wybraliśmy drogę przez Budapeszt, jednak dalej zamiast zmierzać wzdłuż Balatonu na Zagrzeb, skierowaliśmy się na południe w kierunku Sarajewa. Droga niestety strasznie się nam wlokła. Ślimaczym tempem przemierzaliśmy przez część Chorwacji w rejonach Osijeka, potem przez wioski i miasteczka w Bośni. Jadąc przez las zatrzymaliśmy się, by spróbować pieczonej jagnięciny z przydrożnego grilla. Niestety przyjechaliśmy chyba zbyt wcześnie, bo dostaliśmy niedopieczone kawałki, które trochę trzeba było pożuć. To taki pierwszy, mały zgryz jaki nas spotkał. Dalej były już tylko miny w lasach, więc nie zatrzymywaliśmy się nawet na siku.

Gdy upał nam zaczął doskwierać odbiliśmy nad Rajskie Jezioro, by skorzystać z kąpieli i być może rozbić nad nim namioty. Jednak okazało się, że cały zbiornik jest ogrodzony i wstęp możliwy jest wyłącznie za biletami. Płatność w Euro nie była możliwa, więc z braku bośniackiej waluty zrezygnowaliśmy z pikniku zmierzając wprost do Sarajewa.

To miasto-pomnik ze swoją smutną, wojenną historią i widocznymi na każdym kroku śladami ostrzałów wzbudziło w nas wiele refleksji. Na elewacjach bloków mieszkalnych i wielu domach wciąż można zobaczyć dziury po pociskach. Smutne wrażenie robi także cmentarz przy Stadionie Olimpijskim z białymi nagrobkami poległych w czasie wojny bałkańskiej w latach 90-tych. Początkowo zabici byli chowani na murawie tego stadionu, a dopiero po zakończeniu konfliktu zostali przeniesieni na pobliską nekropolię.

Bośniacy zdają się wciąż żyć okropieństwami wojny. W pensjonacie, w którym zatrzymaliśmy się na nocleg w telewizji wciąż puszczane były programy historyczne o wojennych faktach i pamięci tamtych dni. Patrząc na niektóre twarze na ulicach nie mogliśmy oprzeć się przeświadczeniu, że jeszcze kilkanaście lat temu ludzie ci trzymali w rękach karabiny i brali udział w wojennym koszmarze.

W Sarajewie warto pospacerować ulicami Starego Miasta, zwłaszcza wokół muźulmańskiego bazaru, gdzie jednak nie udało nam się uciec od pamięci wojny, gdyż wśród zwykłych pamiątek w stylu mosiężnych lamp, naczyń, koszulek, można było zakupić też wiszące na murach mapy pokazujące oblężenie miasta.

W drodze do Mostaru zatrzymaliśmy się nad Jablanickim jeziorem, pięknie położonym wśród wzgórz o wodzie koloru zielonego jabłuszka, od czego pochodzi prawdopodobnie jego nazwa. To była nasza pierwsza kąpiel w tak wspaniałym krajobrazie, ale mimo jej uroków, nasza tęsknota za ciepłym morzem stawała się coraz większa z każdym

przejechanym kilometrem.

Do Mostaru jechaliśmy z nadzieją zobaczenia wspaniałego mostu, zburzonego podczas działań wojennych ostatniego konfliktu bałkańskiego i odbudowanego po latach w większości na dawnych fundamentach i z wykorzystaniem oryginalnego kamienia. Obecnie obiekt jest wpisany na listę UNESCO i patrząc na jego dostojność, znając jego bolesną historię można stwierdzić, że w pełni na to zasługuje. W rzece pod mostem moczyliśmy sobie nogi, ale woda była zadziwiająco zimna, co nie przeszkadzało kilku śmiałkom skakać do niej z wysokości ku uciesze licznych gapiów.

Jadąc dalej na południe zdecydowaliśmy się odbić w prawo kilkanaście kilometrów do Medjugorie, miasta objawień i przez to celu wielu pielgrzymek. Droga serpentynami w górę sprawia wrażenie jakbyśmy jechali bliżej nieba, gdzie łatwiej o takie cuda jakie miały ponoć tam miejsce. Niestety nie spotkaliśmy żadnego ze słynnych świadków objawień maryjnych, ani nie dostrzegliśmy żadnego znaku krzyża w chmurach, co podobno czasem się tam zdarza. Jednak te grupki wiernych spowiadających się na dziedzińcu bez konfesjonałów przysiadując ze spowiednikiem na ławeczce wzbudzają pokorę i szacunek. Popiliśmy sobie i nalaliśmy do buteleczek cudownej wody z kraników. Zabrałem zapas dla swojej mamy, która wierzy w takie rzeczy i o dziwo, gdy o niej mówiłem dostałem od niej sygnał na komórkę. Oddzwoniłem do niej pytając czy coś się stało, ale odpowiedziała, że dostała tylko ode mnie sygnał na telefon. Dziwna sprawa. Pozdrowiłem ją i poinformowałem gdzie jestem. To był nasz taki mały cudzik.

Był straszny upał, brakowało nam chłodu, jedna lodówka się zepsuła, marzyliśmy o zapasach zimnej wody na drogę. Żartowaliśmy, że jeżeli ta woda z Medjugorie ma cudowną moc to powinna być chłodna, gdy ją przywieziemy do Polski. Nie chcieliśmy jej wypić tylko przywieźć jako prezent. Jak się okazało za 10 dni, dzień przyjazdu do Polski był deszczowy i zimny. Przez tę pogodę rzeczywiście przywieziona przez nas woda była chłodna. Ot, taka mała mistyka.

Jeszcze tego samego wieczora ujrzeliśmy Adriatyk skąpany w zachodzie słońca. Nie mogliśmy sobie odmówić pikniku przy winnicach na wzgórzu z widokiem na morze. Zatrzymaliśmy się też przy drodze, by zakupić owoce, w tym przesmaczne arbuzy, które stały się naszym codziennym daniem oraz oczywiście rakiję, czarnogórską przepalankę jaką spili Franka Dolasa w filmie „Jak rozpętałem II Wojnę Światową”.

Zmitrężyliśmy przez to trochę czasu i do Czarnogóry wjechaliśmy już po

zmierzchu. W mroku nie widzieliśmy ani Dubrownika, ani piękna Boki Kotorskiej i niestety mieliśmy problemy ze znalezieniem zarezerwowanej wcześniej kwatery w Tivacie koło Kotoru. W jej poszukiwaniu pomagała nam sklepikarka, policja, taksówkarze, pracownicy informacji turystycznej, przechodnie i w końcu strażnik miejski, który mnie zabrał nawet do swojego biura, by szukać wydrukowanej lokalizacji z portalu booking.com. Niestety nikt nie wiedział, gdzie jest Apartament Barba, a podany w rezerwacji telefon nie odpowiadał, no i adres okazał się być jedynie nazwą dzielnicy. Pierwszy raz mi się coś takiego przytrafiło, ale na szczęście ów strażnik nie dość, że się przejął chyba tym nieporozumieniem bardziej niż my sami, wciąż przeproszał, po czym postawił mi piwo, aż w końcu zawiózł nas na tanie pole kempingowe nad samym morzem, gdzie miło spędziliśmy najbliższe 2 dni, płacąc po 3 Euro za osobodzień.

Kolejnego dnia wieczorem, gdy nam się znudziło plażowanie i leniuchowanie pod figowcami, postanowiliśmy zajrzeć do Kotoru. Miasto, zwłaszcza po zmierzchu ukazuje swoje piękno. Wąskie, skąpane w wieczornym świetle uliczki, małe placówki, brukowane chodniki, restauracyjki z bogatą ofertą ryb i owoców morza, polegające tu i tam koty oraz instalacje w rodzaju gigantycznego prania tworzą niezapomniany klimat. Starówka Kotoru jest wpisana na listę UNESCO nie bez przyczyny. Na wzgórzach wokół miasta widać ruiny średniowiecznych obwarowań i kamienne schody na sam szczyt twierdzy.

Zatoka Kotorska zwana jest też śródziemnomorskim fiordem naprawdę zasłużenie, gdyż objeżdżając ją dookoła w drodze powrotnej nie mogliśmy się nadziwić jej urokowi. Morze wcięło się tu między góry, na małych wysepkach widać pojedyncze domy, a na jednej z nich jedynie samotny kościółek. Z pewnością warto tu zagościć na dłużej, ale my zmierzaliśmy do Chorwacji, jadąc słynną jadranską magistralą, chyba najbardziej widokową trasą w Europie. Z jednej strony skały, z drugiej nadmorskie urwisko. Gdy nią jechaliśmy 10 lat temu to dramatyzmu dodawał brak barierek, które obecnie dają podróżującym autem większe poczucie bezpieczeństwa.

Oczywiście musieliśmy zwiedzić Dubrownik, perłę Dalmacji. Dziś wszystkie czerwone dachy miasta są już odbudowane, ale pamiętam, że jeszcze w 2002 roku wiele z nich było w ruinie i stanowiło smutną pamiątkę z oblężenia miasta. Obeszliśmy miasto dookoła w spiekocie trasą po warownych murach i zmęczeni ruszyliśmy w kierunku Riwiery Makarskiej, gdzie w Podgorze zatrzymaliśmy się na odświeżającą, wieczorną kąpiel. Tutaj po raz pierwszy spotkaliśmy na zwykłej plaży grupki naturystów, bez żenady przechadzających się wśród tekstylnych. Pamiętam ze swoich kilkukrotnych pobytów w Chorwacji, że topless to

tutaj normalna sprawa, ale raczej naturyści jak dotąd korzystali z wydzielonych miejsc. Teraz okazuje się, że mieszane towarzystwo plażowiczów to nic dziwnego.

I znów po ciemku rozbijaliśmy namioty na kempingu w miejscowości o intrygującej nazwie Krvavica. I znowuż przed snem raczyliśmy się rakiją, która stała się świetnym lekarstwem na zmęczoną duszę i ciało. Rankiem plażowanie i kąpiel na pięknej plaży z drobnym żwirkiem, przezrystą wodą i niestety z....naturystami i jeżowcami, co dla mnie skończyło się krwawo. Otóż snurkując sobie spokojnie i oglądając stadka rybek, nagle ujrzałem pod wodą golutką kobietę, bez depilacji, co mnie tak zaskoczyło, że odruchowo musiałem się czegoś złapać niefortunnie opierając się o pobliską skałę pełną jeżowców, które wbiły mi swoje kilkanaście kolców w przegub prawej dłoni. Aby się ich pozbyć zostałem poddany bolesnej operacji wydłubywania ich pojedynczo igłą. I tak o oto swoją krwią okupiłem nazwę naszej miejscowości.

Tego dnia wyruszyliśmy dalej, zwiedzając po drodze Split z pałacem Dioklecjana pod pieczęcią UNESCO oraz zabytkowy Trogir, gdzie spotkaliśmy się ze znajomymi z Kielc, którzy tu wypoczywali. Zjedliśmy tutaj też smakowity obiad, ryby, rybki, krewetki i inne owoce morza prosto z grilla. Palce lizać. Wieczorem dotarliśmy na wyspę Murter, gdzie w miejscowości Jezera jest polska baza nurkowa Moana, z którą chcieliśmy zanurkować następnego dnia. Baza jest w samym porcie, gdzie również w pobliżu znajduje się mały kemping nad samym morzem, na którym rozbiliśmy swoje namioty. Wieczorna kąpiel w morzu, spacer po porcie oraz lody i zimne piwo Karlovacko na ławeczce to rzeczy jakie tygrysy lubią najbardziej.

Kolejny dzień to rejs łodzią na nurkowania wokół Murteru. Z pokładu mogliśmy zobaczyć także pobliskie wysepki Parku Narodowego Kornati. Życie podwodne wydaje się tu na pozór ubogie, ale gdy przeglądałem wykonane zdjęcia to całkiem sporo udało mi się uchwycić. Dużo jest gorgoni, żółtych i czerwonych gąbek, ukwiałów czy różnobarwnych rozgwiazd, a także liczne ryby. Zdarzają się też ślimaki nagoskrzelne i ośmiornice.

Następnego dnia robimy sobie wypad do pobliskiego Parku Narodowego Krka, słynącego z wodospadów, pod którymi można się kąpać. To miejsce, które koniecznie trzeba odwiedzić przejeżdżając przez Dalmację, zwłaszcza że jest położone tylko kilkanaście kilometrów od Sibenika. Nie będę się tu rozpisywał nad pięknem tego niezwykłego parku, bo nie jestem poetą i według mnie żadne słowa tego nie są w stanie opisać, ani żadne zdjęcie pokazać. To trzeba zobaczyć na własne oczy, przespacerować się wyznaczoną trasą i skorzystać z możliwości kąpieli pod huczącymi strugami wody. Polecam.

Dalsza droga zaprowadziła nas do Zadaru, gdzie można usłyszeć morskie organy. Fale i wiatr dmą w specjalne piszczałki wbudowane w otwory nadbrzeżnego muru wydobywając tym samym stonowane dźwięki. Warto też zajrzeć tutaj do sklepu z antykami znajdującego się niedaleko jednego z wejść do obwarowanego miasta, gdzie można znaleźć mnóstwo ciekawostek, w tym dawne mosiężne hełmy nurkowe.

Wjechaliśmy na wyspę Pag, która jawiła nam się jako biała, kamienna pustynia. Po drodze mijaliśmy solany, poletka z których pozyskuje się sól po odparowaniu wody morskiej. Pod wieczór dotarliśmy do miejscowości Stara Novalija, w której zatrzymaliśmy się na nocleg u niejakiego Josipa. Kiedyś przez 19 lat była tu polska baza nurkowa Nautica, ale przeprowadzili się na wyspę Hvar. Chcąc zanurkować można udać się do znajdującej się na przeciwko domu Josipa czeskiej bazy nurkowej Connex, ale raczej jej nie można polecić, gdyż wywożą ludzi w morze, zostawiają ich bez przewodnika i nie mają zbyt wiele sprzętu do wypożyczenia. Za radą żony Josipa umówiliśmy się na nurkowanie w innej czeskiej bazie prowadzonej przez Dalibora, który podobno był protoplastą zorganizowanej turystyki nurkowej na Pagu. Jak się okazało to sympatyczny człowiek i profesjonalny nurek, z którym warto zejść pod wodę. Jediną niewygodą są nurkowania z pontonu, a nie z łodzi. Podwodny świat w okolicach Pagu jest podobny do tego przy Murterze. Widzieliśmy tam ośmiornice, dużo rozgwiad i ukwiałów, stada różnorodnych rybek. Wpłynęliśmy też do małej jaskini i krateru, zwanego chorwackim Blue Hole.

Promem z Žigljen do Priznej przedostaliśmy się z powrotem na kontynent u podnóży gór Velebit, które tworzą kolejny park narodowy. Jazda przez te góry pokręconą drogą z widokiem na białą wyspę Pag to wspaniałe przeżycie. Z Karlobagu kierowaliśmy się do Parku Narodowego Plitwickie Jezera, który porównywany jest do Krka, ale obejmuje dużo większą przestrzeń i niestety nie wolno się tutaj kąpać. Kaskadowo ułożone jeziora z malachitową wodą, wodospadziaki, bujna roślinność, spotykane tu małe węże wodne, raki i płazy dają poczucie przebywania w nieskażonej przyrodzie i pozwalają jednocześnie zapomnieć o miejskiej dżungli.

Nasz ostatni nocleg w Chorwacji urządzamy sobie na pobliskim kempingu Korana, znajdującym się ok. 7 km od parku. Jest to pięknie położony, duży obiekt z dobrą infrastrukturą i niestety z...WiFi, przez co po raz pierwszy uzyskujemy połączenie internetowe ze światem, a tym samym czujemy, że to nieuchronny koniec urlopu.

W drodze powrotnej przez korki na obwodnicy wjeżdżamy do Budapesztu podziwiając miasto z okien samochodu, a dalej zatrzymujemy się praktycznie tylko na Słowacji, by skosztować świetnego wyprażanego syra i kofoli. Pogoda diametralnie się zmienia. Jest deszczowo i chłodno. Jakoś jednak nas to nie za bardzo dziwi, bo właśnie przed

takim kapryśnym latem chcieliśmy uciec na południe.

Podsumowując. Przejechaliśmy 3500 km przez 5 krajów, 14 razy mijając granicę, w tym 10-krotnie przechodząc kontrolę paszportową, odwiedziliśmy 6 miejsc z listy UNESCO i 4 parki narodowe. Opróżniliśmy 5 butelek rakiji, dziesiątki puszek piwa i innych trunków. Zaliczyliśmy 2 zejścia ze świata, w tym jedno suche, drugie mokre oraz 4 zwykłe nurkowania i 8 plażowań. Zjedliśmy ze sto kilo arbuźów. Przytrafiły nam się 3 awarie: lodówka, akumulator, bezpiecznik. Wymigaliśmy się kilkakrotnie od mandatu za parkowanie w niedozwolonych miejscach. Spaliśmy 3 razy na kwaterze i 6 razy na kempingu pod namiotami. A to wszystko w 10 dni, dzięki temu, że jeździliśmy po 26 godzin na dobę, wstając zawsze dwie godziny wcześniej.